Dodatek do Nr. 44 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 22. Sobota, dnia 31-go Października. Rok 1908

NA GROBY.

W zamglone wzgórza słońce się zniża,
W dzień Wszystkich Świętych wieczór się zbliża
I już ostatnie blaski wydaje,
— Pójdźcie na groby! wołać się zdaje.

— Pójdźmy na groby, obaczmy przecie;
Co się to stało z żyjących w świecie?...
Gdzie ich doczesna ojców spuścizna...
Groby powiedzą: — Nie tu ojczyzna!

Groby obrzydzą próżność światową,
Która się kończy z deską grobową,
Wskażą ci za nią poza tą deską
Wspólną ojczyznę wszystkich: niebieską.

— Pójdźmy na cmentarz, gdzie bojowisko
Śmierci, gdzie w groby kładzie się wszystko,
Gdzie krzyż mogilny, godło zbawienia
Zwiastuje żywym: Tu kres cierpienia!

Brzozy cmentarne, mogił ozdoby,
I one szemrzą: — Pójdźcie na groby
Podumać nad tą marnością świata
I władzą śmierci, co wszystkich zmiata.

Nikt jej nie zmoże, nikt nie pokona,
Daremna przed nią wszelka obrona;
Jej nie przekupią świata bogacze
Ani uproszą modły i płacze.

Bierze z pałaców, bierze i z chaty,
Nie dba, czy nędzarz, czy człek bogaty:
Nikt jej nie ujdzie, nikt nie uprosi,
Nie dbając na nic, kosi a kosi!

Nie dba, czyś gotów, czy jesteś w domu,
Nie mówi o swem przyjściu nikomu,
Wchodzi jak złodziej, na sąd porywa,
Gdy się jej człowiek najmniej spodziewa.

Rozważmy! I na jej odwiedziny
Bądźmy gotowi każdej godziny,
Bo i tej nocy, nim słońce zejdzie,
Niejedna matka dzieci odejdzie.

Niejeden ojciec z ciągłej zgryzoty
Umrze, zostaną dzieci sieroty;
I darń zielona wszystko, co żyje,
Nie dziś, to jutro bujno okryje.

Czytaj napisy: Tu pochowany
Ojciec, tu matka, syn ukochany;
Tam znów oznajmia napis złocony:
Miły duszpasterz ludziom stracony;

Tam znów dziewica, co w wieku kwiecie
Nie znała grzechu jeszcze na świecie,
Bóg ją powołał, śmierć ją zabrała,
Czystą swą duszę Bogu oddała.

Tam znów młodzieniec śpi w śmierci nocy
I wzywa żywych: Dajcie pomocy!
Co za kraj walcząc, legł w krwawym boju.
Opodal wojak śpi snem pokoju,

A tutaj żebrak, co we dnie w nocy
Nie zaznał szczęścia, błaga pomocy;
I mnóstwo innych, a każdy prosi,
A czas ucieka, śmierć zaś wciąż kosi.

— Pójdźmy! Niech każdy na cmentarz bieży,
Gdzie takie mnóstwo w truchełkach leży
Naszych najdroższych, i tutaj szczerze
Za dusz ich spokój zmówmy pacierze.

Tej oni od nas pragną pociechy:
Modlitw, by Bóg im odpuścił grzechy —
Spieszmy, bo płynie z tych miejsc żałoby
Ciche wołanie: — Pójdźcie na groby!

Wojciech Strojny ze Sułowa.

CZARY.

OPOWIADANIE PRZEZ J. N.

(Dokończenie).

Księżyc poważnie sunął po sklepieniu nieba, zrzadka wyglądając z poza gęstych obłoków. Ciemność zalegała ziemię.

W osadzie panowała cisza, wszystkie światełka pogasły. Na cmentarzu było jeszcze groźniej i straszniej. Krzaki tylko od czasu do czasu zaszumiały, zatrzepotał nad nimi motyl nocny lub zaszeleściały liście zeschłych wianków, tu i owdzie ozdabiających groby. Nietoperz przeleciał cicho nad samą ziemią, z sąsiednich łąk zerwał się niekiedy dziki okrzyk ptaka, sowy ciągnęły na żer.

Skulony, z potem zimnym na czole, drżący ze strachu, siedział w krzakach Zdzisław niedaleko od krzyża i czekał, rychło li zegar zacznie bić północ. Z lewej strony, przez pola chyłkiem przyszedł na cmentarz. W piersiach go ściskało, usta miał spieczone, w gardle paliło. Nigdy nie sądził, żeby tyle myśli i obrazów mogło powstać w jego głowie. Ale tak było w samej rzeczy, strach i głód wzbijały w jego mózgu całe tumany wirujących, goniących się figur i widziadeł. Nietylko Frania w czerwonym swym staniku skakała mu przed oczami, ale i opryszek z roztrzaskaną głową stał przy niej, trzymał ją za rękę i nagle potrunął, jak nietoperz, w powietrze... Zdzisławem dreszcz wstrząsnął.

Rękawem obcierał krople potu z czoła. Przeklinał całą tę sprawę, starą wróżkę przedewszystkiem. Najchętniej byłby stąd uciekł, wstrzymała go tylko myśl, że przez te męczarnie oczekiwań w niecierpliwości dojdzie do posiadania Frani. Co chwila jednak żegnał się ostrożnie, dla obrony i odpędzenia złych duchów.

Podczas, gdy on tak siedział, pół martwy, pół żywy, Frania wymknęła się z domu i z prawej strony zdążała ku cmentarzowi. Musiała przechodzić koło domku rodziców Jana Kłodnickiego, na końcu osady.

Chociaż było to już po jedenastej, w oknie świeciło blade światełko.

Młody chłopiec, po skończeniu roboty w warsztacie, wyręczał ojca w niewielkiem jego gospodarstwie, zaglądał do stajenek, gdzie kilka krów stało, do chlewików, patrzył, czy wszystkie drzwi dobrze zamknięte, nie spał więc jeszcze o tej porze. Przechodząc przez podwórze, ujrzał nagle przy świetle księżyca, który w tej chwili odsłoniły obłoki, cień jakiś, szybko przesuwający się poza budynkami.

Jedna z łączek była własnością jego ojca. Bez długiego więc namysłu złapał kij, przez parkan przeskoczył i udał się w ślad za cieniem. Może był to złodziej, mający chętkę na jego siano, może szedł gdzieindziej na kradzież. W każdym bowiem razie wydało mu się to bardzo podejrzanem.

W odległości, ostrożnie, aby nie być sam widzianym, szedł Jan za cieniem, nie spuszczając go z oka.

Naraz stanął.

Na litość, wszak była to postać kobieca! Doskonale to rozróżnił, pomimo ciemnej nocy. Zdążała prosto w stronę cmentarza. Rzecz ta zaciekawiła młodego chłopca. Nagle cień zniknął za żywopłotem gościńca, oddzielającego cmentarz.

Kłodnicki zbliżył się powoli ku temu miejscu i ukrył się tak na czatach przy samym cmentarzu, że musiał widzieć koniecznie każdego, ktoby tędy przechodził lub wychodził z cmentarza.

Czekał długo, ale naprożno. Jakby ziemia się rozstąpiła, cień zginął bez śladu. Wśród grobowej ciszy nocnej nie mógł pochwycić najmniejszego chociażby szmeru.

W gorączkowem podnieceniu Frania dobiegła do cmentarza, nie mając odwagi nawet odetchnąć.

Jak po drugiej stronie krzyża Zdzisław, tak ona po cichu wcisnęła się w gąszcz krzaków i słuchała w natężeniu, czy zegar nie bije północy. Każda minuta wydawała się jej godziną i z każdą chwilą wzrastał w niej strach niepomiernie, wśród tych ponurych grobów i posępnej nocy. Ona, silna dziewczyna, uczuła się naraz tak słabą, tak bezradną, jak małe niemowlę. I jej stanął na myśli opryszek, tu w pobliżu pochowany, który często wśród mogił się pojawiał, a przed którym wszyscy byli bezbronni.

Najmniejszy ruch gałązki wstrząsnął Franią do głębi. I ona radaby stąd jak najprędzej uciec, ale ciekawość czegoś niezwykłego i postanowienie rozstrzygnięcia raz sprawy małżeństwa dodawały jej otuchy.

Drżąc całem ciałem, wystraszona dziewczyna powstała ze swego miejsca. Przeciągająca chmura zasłoniła księżyc.

I oto wolno, ale donośnie, padło pierwsze uderzenie północy.

Jedna tylko myśl ogarnęła Franię całkowicie: prędko pobiedz do krzyża, zerwać listek mydlnika i dalej, co tchu uciekać z tego miejsca do domu.

Siły ją opadły, w głowie się kręciło, zdobyła się jednak na tyle, że dobiegła do krzyża.

Wtem, straszny okrzyk wydarł jej się z piersi. Jednocześnie z drugiej strony na jej spotkanie spieszyło coś ciemnego... Opryszek, niezawodnie zabity, opryszek pędził ku niej przez groby...

Nogi uginały jej się w kolanach. Jak ukropem zlana, z przeraźliwym krzykiem rzuciła się do ucieczki, zmykając ku wyjściu.

Było to zbyteczne. Zdzisław również, na widok niespodziewanej postaci, biegnącej ku niemu, omal nie skonał z przerażenia, puścił się w cwał w przeciwną stronę i w biegu swym nie prędzej się zatrzymał, aż się oparł o pierwsze domy osady.

Tak daleko nie udało się Frani dobiedz. Ledwo, że zdążyła opuścić cmentarz, gdy z okrzykiem „stój" zastąpiono jej drogę.

Struchlała, lecz w tej chwili poznała głos znajomy, a przy blasku z za chmur wychylającego się księżyca rozróżniła i twarz stojącego przed nią mężczyzny.

— Janek! — zawołała.

Wylęknioną, łkającą dziewczynę przycisnął do swej piersi.

— Ratuj mnie!... Ach, ratuj!

I wyratował ją istotnie — nietylko z tej strasznej chwili przerażenia, ale na zawsze, na całe życie.

W kilka miesięcy potem wiózł przez osadę Janek Kłodnicki Franię od ślubu własnym, daleko ładniejszym zaprzęgiem, niż Zdzisława, aż mu cała młodzież zazdrościła koni, więcej może jeszcze ładnej małżonki.

Zdzisław tylko zgrzytał zębami.

— Żeby nie ten przeklęty opryszek — mruczał — wszystko stałoby się inaczej... Ale któżby miał odwagę ustać przed strachem!

Jedna tylko stara wróżka zacierała ręce i śmiała się w duchu. Ona znała najlepiej tajemnicę tej historyi.

Takie to bywają wszystkie czary na świecie.

NASZE MIESZKANIE W ŚWIETLE HYGIENY.

(Ciąg dalszy).

Przystępujemy do opisu łóżka i posłania.

Łóżko celowi odpowiednie winno być około 60 do 70 ctm. (2 stóp) dłuższe od tego, który ma w

niem sypiać. Za długie nie jest dobrem, bo nie daje ciału żadnego punktu oparcia, za krótkie złem zaś jest dla tego, że człowiek, nie mogąc się wyciągnąć, kurczy się jakoby w pałąk, w miarę czego utrudnia się krążenie krwi.

Ponieważ przez oddychanie tworzący się węglik, jako cięższy od powietrza atmosferycznego, wciąż w dolnej części pokoju się zbiera, podczas gdy lżejsze gazy ku górze się wznoszą, nie powinno być łóżko za nizkie, a powierzchnia posłania naokoło metra występować nad posadzkę.

Żelazne łóżka mają swe zalety, wszakże na dłuższy czas do spania nie są polecenia godne z powodu, że odbierają śpiącemu elektryczność.

Strona łóżka od głowy winna być zwróconą ku oknu, całe łóżko zaś, o ile miejsce pozwoli, nieco od ściany, oddalone, choćby na środek izby, żeby powietrze ze wszech stron mogło je okrążać. Do dobrego łóżka należy przedewszystkiem materac, a ten najlepszy jest z włósia końskiego; gdzie chodzi o koszt, można włósie zastąpić trawą morską albo też niemniej elastycznemi łuskami z szyszek jodłowych, które pozostają po obtłuczeniu nasienia. Łuski te mają to dobre do siebie, że zachowują drzewom żywicznym właściwy a zdrowiu sprzyjający aromat i nie dopuszczają robactwa. Na takim dobrze wysłanym materacu można bez spodka z pierza spać wygodnie i zaleca się to każdemu, kto to znieść zdolny, gdyż pościel z pierza za nadto przyspiesza ewaporacyą skóry; gdyby przecież inne względy lub przyzwyczajenie wymagały pokrycia jeszcze materaca choćby cienkim spodkiem, natenczas winno się według zwyczaju angielskiego położyć na ten spodek derę wełnianą i na to dopiero prześcieradło. Stąd ma się nietylko tę korzyść, że się zapobiega zbytecznemu rozgrzaniu względnie poceniu się ciała, ale też, że w skutek transpiracyi, wywołanej drażliwiścią skóry, możnaby się łatwo nabawić reumatyzmu, czego się właśnie unika, przedzielając derką ciało odpierza.

Pod głowę służy najlepiej poduszka w kształcie klina, zaokrąglona w podkowę i ku środkowi nieco wyżłobiona, a do nakrycia wreszcie kołdra w podwójne prześcieradło lniane zaszyta, w lecie lżejsza, w zimie cięższa, z pomocą piernata, dolną część ciała pokrywającego.

O ile zaś bez pościeli z pierza nie można się obyć, trzeba ją w ciągu lata od czasu do czasu wietrzyć, atoli nie na słońcu, lecz w cieniu, gdzie panuje przewiew powietrza. Wystawienie bowiem pościeli na gorąco promieni słonecznych nietylko zbytecznie ją rozgrzewa, ale też pozbawia pierze elastyczności.

Bezwarunkowo szkodliwym i nagannym jest powszechny zwyczaj słania natychmiast łóżka, skoro się wstało z niego.

W łóżku używa ciało spoczynku, jaki mu sen nadaje, ale podczas gdy śpiący człowiek leży na pozór cicho i bez ruchu, nie ustają zupełnie funkcye ciała. Nawet w najgłębszym śnie nie przestaje krew krążyć ani chwili, człowiek oddycha, trawi itd. Stąd pochodzi, że łóżko, w którem człowiek spał, mniej lub więcej obciążone jest potem, lub wyziewami, a gdy takie łóżko zaledwie że wystygłe, ściele się spiesznie t. j. po szybkiem wzruszeniu pościeli kładzie się jednę sztukę na drugą i pokrywa jeszcze kołdrą, zachowuje się poniekąd w pościeli pozostałe wyziewy na noc następującą, co, że nietylko jest szkodliwem zdrowiu, ale że też sprzeciwia się estetycznemu zmysłowi czystości, samo się przez się rozumie.

Dla tego powinno się pozostawić łóżko niepościelanem, ile możności, przez cały czas, aż się znów ma iść na spoczynek, chybaby tylko ograniczyć się na wzruszeniu i przetrzepaniu naprzód pościeli obok należytego wietrzenia sypialni.

Dobrze urządzony dom, odnośnie pomieszkanie, powinno mieć:

a) dostatek światła;
b) dostatek powietrza;
c) temperaturę naturze człowieka odpowiednią;
d) nie dopuszczać wilgoci zdrowiu szkodliwej i
e) w każdem miejscu odznaczać się czytością.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czystość i porządek.

Czystość i porządek jest nie tylko najgłówniejszym z warunków zdrowia, ale także stanowi źródło zadowoleń moralnych, wpływa na uszlachetnienie duchowe. W naturze, tam, gdzie jej się człowiek ręką swoją nie dotknął, wszystko jest świeże i czyste; dopiero pył uliczny, sadze z kominów, odpadki, niebacznie rzucane w mieszkaniach ludzkich, wreszcie inne przekroczenia przeciwko zdrowiu, wytwarzają to, co nazywamy brudem. Powiedział ktoś, zupełnie słusznie, iż o stopniu oświecenia kraju, możemy sądzić z ilości zużytego przez mieszkańców mydła. Czystość i porządek — to stan naturalny każdej istoty żyjącej; brud — to choroba. Należy przeto dziecko do czystości i porządku wdrażać jak najwcześniej.

Czystość nie powinna być uważana za właściwości pewnej klasy ludzi, nie powinna być przywiązywana do wieku, do rodzaju zajęcia. Każdy wiek, każde zajęcie, każdy stan może utrzymać porządek i czystość, jeżeli tylko zechce. Oczywiście, kowal, ślusarz, słowem człowiek pracujący w dymie, pyle węglowym, nie może mieć rąk tak czystych, jak adwokat lub kupiec, ale można wymagać, żeby choć dwa lub trzy razy na dzień omywał ręce z potu, który mieszając się z węglem, oraz innymi odpadkami, tworzy na skórze warstwę błota, bardzo sprzyjającego rozwojowi żyjątek, roznoszących choroby, a także tamującego parowanie ciała, co się na zdrowiu odbić musi koniecznie. Trzeba pamiętać i rozumieć, że czystości przestrzegamy, nie dla innych, ale głównie dla siebie, dla własnego dobra. Tymczasem mnóstwo ludzi myje się i ubiera tylko wtedy, kiedy mają wyjść na ulicę, pokazać się światu, w domu zaś chodzą brudni i zaniedbani. Są i tacy, którzy zadawalają się czystością powierzchowną, t. j. czystością miejsc i części ubrania widocznych; na czystość zaś bielizny, ciała, nóg nie zważają. Wdrażanie do pielęgnowania czystości dla czystości stanowi jedno z poważnych zadań wychowania, należy uczyć tego od dzieciństwa, nie pozwolić zachowywać się pod tym względem, tylko pozornie.

SZTUKA MALARSKA.

Oberżysta małej angielskiej wioski Croyden, spytał się razu pewnego malarza, który się tam kilka dni zatrzymał:

— Ileż też pan żądasz za namalowanie mi pięknego białego biegunowego niedźwiedzia, którego widok zjednałby mi wielką klientelę?

— Uczynię to za cztery dolary, — odrzekł mlarz.

— Cztery dolary? Przecież pański kolega Wacek żądał tylko trzech dolarów.

— Co, pan chcesz mnie przekonać, iż on panu wymaluje białego niedźwiedzia za trzy dolary?

— Tak mi mówił.

— A ma to być dziki, czy oswojony?

— Dziki.

— Z łańcuchem, czy też bez?

— Bez łańcucha.

— Dobrze, więc namaluję panu również za trzy dolary dzikiego niedźwiedzia bez łańcucha.

W ośm dni umieszczono nad drzwiami oberży ogromny szyld, na którym widniał na czarnem tle duży biały niedźwiedź, wzbudzający wielkie zadziwienie w całej okolicy.

Lecz nie trwało to długo. Pewnego wieczora przechodziła nad wioską straszna burza, która zamieniła się w końcu w ulewny deszcz. Następnego poranku oberżysta otwierając oberżę, wejrzał troskliwie na swój szyld — jakież było jego przerażenie — niedźwiedź znikł. Co tchu biegnie oberżysta do malarza i opowiada mu to dziwne zjawisko.

— Był to niedźwiedź dziki czy oswojony? — pyta zimno artysta-malarz.

— Dziki.

— A więc jakże możesz pan przypuszczać, aby niedźwiedź dziki mógł stać spokojnie na miejscu podczas ulewy, do tego jeszcze w nocy, nie będąc uwiązanym. Żaden niedźwiedź nie uczyniłby tego. Daj pan żądane cztery dolary, a wymaluję niedźwiedzia na łańcuchu i ani się ruszy podczas burzy i deszczu.

Oberżysta dał żądane cztery dolary a malarz wymalował białego niedźwiedzia na łańcuchu, który nie był malowany, jak pierwszy farbą wodną, ale trwałą farbą olejną.

ZDANIA I MYŚLI.

Usuń obmowę, a połowę grzechów ubędzie ze świata. (Św. Fr. Sal.)

❀

Obmowa jest jak grad, który w jednej godzinie niweczy całoroczny mozół gospodarza, jest jak kamień rzucony w wodę, który wprawdzie w jedno wpada miejsce, ale coraz dalsze i coraz szersze na wodnem zwierciadle tworzy kręgi i nareszcie cały staw poruszy; a całego tego poruszenia przyczyną ów nieznaczny kamyczek.

Wyjawiając niepotrzebnie prawdę na szkodę bliźniego, możesz mu więcej zaszkodzić, niż wymyślonym fałszem: prosta obmowa może być w pewnym wypadku daleko dokuczliwszą, niebezpieczniejszą, aniżeli potwarz.

❀

Ani obmówca, ani złodziej, nie wejdą do Królestwa niebieskiego. (Św. Paweł.)

❀

Jeśli występek nie jest widoczny, nikogo nie należy potępiać. Jaką miarą mierzysz, taką ci odmierzą. Nawet to, co się złem wydaje, należy wymawiać; gdyż oko często zawodzi, ucho częściej, a podejrzliwość najczęściej.

PRAKTYCZNE RADY.

Zamarzłe okna.

Zimą, gdy nastają mrozy ciężkie, zwykle zamarzają grubo okna, co naturalnie przyjemnością nie jest dla nikogo. Środek, zapobiegający zamarzaniu okien, jest następujący:

Mięsza się 50 gramów gliceryny z 1 kwartą spirytusu. Mięszaninę tę wstrząsa się mocno. Gdy płyn ten zupełnie się już zmięszał i wyklarował, bierze się dużą gąbkę i zanurza do tego płynu, poczem tą gąbką, nasiąkłą rzeczoną mięszaniną, naciera się szyby okien wewnątrz izby; po stronie zewnętrznej szyb nacierać nie potrzeba.

Ten środek ma być niezawodnym przeciw marznięciu okien, jak również i przeciw tak zwanemu poceniu się szyb w oknach. Warto spróbować!

Jeżeli okna zamarzną i chce się spowodować szybkie ich odtajanie, wtedy należy postąpić jak następuje:

Bierze się dwie łyżki soli zwykłej i wsypuje się do kwarty ciepłej wody, poczem się wodę trochę mięsza, żeby się sól rozpuściła. Następnie bierze się gąbkę lub jakąbądź czystą szmatę płócienną, zanurza się ją do tej wody i pospiesznie ociera nią zamarzłe szyby okien. Tym sposobem można spowodować szybkie odtajanie wielu szyb jedną kwartą rzeczonej wody.

Węgle mokre

nie dają większego ciepła, niż węgle suche. W to powinny wierzyć wszystkie gospodynie, które zimą są zmuszone do ogrzewania swego mieszkania. Jest to wielki błąd, jeżeli kto przypuszcza, że węgle zlane wodą dają w piecu więcej ciepła, więcej gorąca. Co prawda, kto pali w piecu miałem węglowym, ten musi go najprzód dobrze skropić i zwilżyć wodą, ażeby miał trzymał się cokolwiek kupy i tworzył niejako bryły węglowe. Ale kto pali grubszym węglem, ten nie powinien węgla takiego wodą skrapiać, bo woda ciepła nie daje. Zanim węgle zlane wodą mogą się palić, musi wszystka woda wprzód wyparować z niego. Na to wyparowanie zaś dużo ciepła zużywa się w piecu bezpotrzebnie. Więc woda zmniejsza znacznie wydajność ciepła węglowego. Nie należy tedy iść za powszechnie panującym błędem, jakoby mokre węgle więcej ciepła dawały. Palcie w piecach suchym węglem, o ile on jest grubszego gatunku. Miał węglowy należy skrapiać tylko tyle, ile koniecznie potrzeba, żeby się mógł w piecu palić.

Nakładem redakcyi „Prawdy“, Kraków. — Czcionkami „Katolika“, spółki wyd. z ogr. odp., Bytom.